

Agnieszka Ziółkowska

Z ulicy do domu

Sala jest dość duża i umeblowana. Jest tu magnetofon, a nawet mikrofalówka. Jest też duży stół, przy którym siedzą trzy dziewczyny: Agnieszka i Marta, dwudziestokilkuletnie opiekunki, oraz Palmira, nastoletnia wychowanka. Jedna z opiekunek maluje farbami plakat, druga zaprasza mnie do stołu, a po chwili częstuje wodą i ciastkami. Palmira uśmiecha się do mnie szczerze i mówi: nazywają nas „dzieci ulicy”.

– Ta sala od niedawna należy już do nas – mówi z dumą Agnieszka, jedna z opiekunek, a zarazem streetworkerka (pedagog ulicy). My i nasze dzieciaki mamy w końcu swoje miejsce – dodaje.

Streetworking od podstaw

Agnieszka Borowczyk i Marta Plesz biorą udział w projekcie „Z ulicy do domu”, finansowanym przez Urząd Miasta Katowice. W projekcie bierze także udział Kasia, a koordynuje go Grzegorz Sarna, który pozyskuje sponsorów i załatwia wszystkie formalności. Dziewczyny pracują na stałe z 14-osobową grupą dzieci z terenu śródmieścia Katowic. Czasami jednak na zajęcia stacjonarne przychodzą koledzy i koleżanki ich wychowanków, więc grupa liczy nawet dwadzieścia osób.

Agnieszka i Marta, streetworkerki, pomagają dzieciakom, które przebywają na ulicach Katowic. Chodzą zazwyczaj we dwójkę albo dobierają jeszcze kogoś, głównie ze względów bezpieczeństwa. Początki ich pracy polegały głównie na obserwacji „dzieci ulicy”. Sprawdzały, jak często i jak długo przebywają one na ulicy bez opieki dorosłych. Następnym ich krokiem było zbliżenie się do nich. – Nasza częsta obecność w tych samych miejscach, w których przebywały dzieciaki, miała na celu przyzwyczajenie ich do naszej obecności i uświadomienie im, że nie jesteśmy ani kuratorami, ani pracownikami socjalnymi – mówi Marta. Potem podchodziły do nich, przedstawiały się i proponowały jakieś zabawy. Staraly się również wkupić w ich łaski, zapraszając je na lody czy pizzę. – To są w sumie takie podstawowe etapy, na podstawie których nasza praca się kręci – dodaje Marta.

Współpracują z MOPS-em, policją, strażą miejską, szkołą i rodzicami. Od policji i straży miejskiej starają się pozyskać jak najwięcej informacji dotyczących dzieci, np. gdzie najczęściej przebywają, na kogo warto uważać na danej ulicy.

„Hardcorowa” robota

Agnieszka już od trzech lat jest pedagogiem ulicy. Sama nie przeszła typowego szkolenia dla streetworkerów, ale czyta wiele publikacji na ten temat. Odbywa także różnego rodzaju szkolenia i kursy z zakresu pedagogiki, np. warsztaty komunikacji, które jej zdaniem powinien przejść każdy pedagog ulicy, a także kurs dotyczący psychologicznego obrazu dziecka krzywdzonego i metod pracy z dzieckiem z zaburzeniami w zachowaniu.

Jak sama mówi, dobry streetworker powinien być komunikatywny i cierpliwy. Nie może liczyć na natychmiastowe efekty, bo zaufanie wymaga czasu. Jeżeli dziecko zasygnalizuje mu problem, ale nie chce o nim mówić, to powinien poczekać, nie wiercić mu dziury w brzuchu. Dziecko i tak z czasem przyjdzie i opowie mu, z czym się boryka. Musi mieć także dystans do siebie. – Czasem dzieciaki potrafią obrzucić wulgaryzmami wychowawców – ci nie powinni brać tego do siebie. Z reguły takie zachowanie wynika z jakiegoś problemu, z którym dziecko się zmagają, np. jego matka znowu jest w ciągu alkoholowym lub w domu odłączono prąd, bo rodzice nie mieli pieniędzy, by zapłacić rachunek – mówi Agnieszka. Marta potakuje głową i dodaje: – Ta praca jest „hardcorowa” i nieobliczalna! To na pewno. Wymaga od pedagoga dużej cierpliwości i wytrzymałości psychicznej. Zdarza się, że przychodzi wychowanek, który z impetem kopie w wieżę albo dochodzi do bójki dwóch kumpli, którzy jeszcze przed chwilą grali razem w karty. Próbuje wtedy z Agą ich rozdzielić i myślimy jednocześnie, aby tylko nie dostać przez przypadek w twarz. Kiedyś miałyśmy „jazdę” z naszym wychowankiem, Piotrusiem. Dzieciak ma ogólne problemy emocjonalne, bierze antydepresanty i tabletki na uspokojenie. Po długim dniu znoszenia jego wybryków i przekleństw, zdecydowałyśmy w końcu, że ma „wylot” z zajęć. Piotrek nie chciał wyjść. Niestety, musiałam wziąć go za rękę i siłą wyprowadzić z sali – nie miałam innego wyjścia. Piotrek dostał wtedy ataku agresji, wpadł w szal i zaczął mnie bić, kopać, przezywać. Musiałam go w tym samym czasie obezwładnić, tak aby nie zrobił krzywdy sobie i mnie. Po chwili Piotrek wyrwał się. Zaczął uderzać i kopać w stół. Pluł i nadal upierał się, że nie wyjdzie z sali. Modliłam się, aby zaraz nie zaczął uderzać głową w szklane drzwi wyjściowe... Na szczęście wyładował już swoją złość i wszystko skończyło się na poobijanej ręce i siniakach. Kiedy powiedziałam stanowczo: zegnaj, masz wyjść! Piotrek wyszedł. Może nie był to atak, który wymagał wezwania karetki i podania zastrzyku uspokajającego, ale ta sytuacja przyprawiła mnie o mocne bicie serca...

Najtrudniejszym elementem w pracy pedagoga ulicznego jest chyba jednak to, że przejmuję się losem dzieciaków. – Kiedy jeden z naszych wychowanków poszedł do więzienia, przez pewien czas chodziłam struta i myślałam, co z nim dalej będzie. A przecież wiedziałam, że słusznie do niego trafił – mówi Marta.

Nasza grupa

„Dzieci ulicy” spędzają swój czas na podwórku, czyli na ulicy. Po szkole przesiadują w bramach, w „czajówkach” przy torach czy skwerkach. – Dziecko ulicy kojarzy się głównie z biednym, brudnym i poobdzieranym dzieckiem, które spędza czas na ulicy. Czuje się tutaj znacznie lepiej niż w domu, z rodzicami alkoholikami – mówi Marta.

Dzieciaki, które należą do grupy Marty i Agnieszki, są w różnym wieku – od dziesiątego do siedemnastego roku życia. W grupie jest także kilku dorosłych, osiemnastoletnich wychowanków. Dziewczyny organizują dla nich zajęcia sportowe, kulinarne, plastyczne, muzyczne czy filmowe. Kiedy są z dziećmi na ulicy, najczęściej się bawią, grają w coś, a czasem po prostu siedzą na murku i jedzą lody. Organizują też różnego rodzaju wyjścia do kina, teatru lub na pizzę. Zapraszają na spotkania osoby wykonujące ciekawą pracę. Ostatnio odwiedził ich policjant, który pokazał dzieciakom sprzęt policyjny i kilka elementów samoobrony. No i oczywiście odrabiamy z nimi lekcje – śmieje się Agnieszka. Dzieciakom codziennie przysługuje jeden ciepły posiłek (obiad), oprócz tego mogą zjeść kanapki, które same robią, a także ciastka i chipsy – to, czego nie mają w domu.

Dzięki pracy z dziećmi Agnieszka spogląda na świat i własne problemy zupełnie inaczej. Jej kłopoty wydają się jej często niczym w porównaniu z tym, co muszą przeżywać jej podopieczni. W takich chwilach docenia to, co ma: cudownych rodziców, którzy stworzyli jej bezpieczny dom oraz przyjaciół, dzięki którym żyje jej się łatwiej. – Wiem, że Ci ludzie będą zawsze przy mnie. Wysłuchają, poradzą, czasem skrytykują i właśnie kimś takim chcę być dla swoich wychowanków. Dorosłym, na którego można liczyć – mówi Agnieszka. Do swoich największych sukcesów zalicza to, że dzieciaki od trzech lat przychodzą na jej zajęcia. Mają do niej zaufanie, zwierają się ze swoich problemów, pytają o radę, a czasem po prostu chcą, aby je przytuliła. Przez te trzy lata u niektórych z dzieciaków zauważyła bardzo pozytywne zmiany w zachowaniu. – Palmira, która była dziewczynką-chłopczycą, nosiła sportowe ubrania, przeklinała i biła się z dużo starszymi chłopakami, teraz ubiera spódniczki, panuje nad agresją i nie rozwiązuje swoich problemów siłą. Niestety, jak w każdej pracy, mamy także porażki. Jeden z naszych wychowanków trafił w marcu do zakładu karnego.

Mimo to wspieramy go, jak możemy – piszemy do niego listy razem z dzieciakami, jeździmy na widzenia. Wierzymy, że i on ułoży sobie kiedyś życie.